

Leopold Hess

Nazwy własne — fakty i mity

Od czasu publikacji *Nazywania i konieczności* problem nazw własnych jest jednym z najszerzej omawianych problemów w filozofii języka. Moim celem jest pokazanie, że problem ten został źle postawiony, czego efektem jest nieuzasadniona popularność jednego z jego rzekomych rozwiązań, jakim jest „Nowa Teoria Referencji”. Argumenty, które przemawiają na rzecz tej teorii, a oryginalnie wyprowadzone zostały przeciw klasycznemu deskrypcjonizmowi Russella i Searle’a, opierają się na pewnych założeniach, które nie są wcale tak oczywiste, za jakie się je podaje. Postaram się wydobyć te założenia i pokazać ich arbitralność.

Zanim jednak do tego przejdę, muszę wyjaśnić jeszcze jedną kwestię. W żadnym wypadku nie jest moim celem obrona przedkripkowskiego deskrypcjonizmu. Nie sądzę, aby teorii tej można było lub warto było bronić. Stanowisko, które zajmuję w kwestii nazw własnych, jest stanowiskiem minimalistycznym, równoważnym niemal stwierdzeniu, że kwestii tej w ogóle nie ma i nie warto zajmować w związku z nią żadnego stanowiska. Nazwę je minimalnym deskrypcjonizmem. Otóż sądzę, że nazwy własne nie różnią się pod żadnym filozoficznie istotnym względem od nazw pospolitych. Znaczenie nazwy własnej w danej wypowiedzi w danym kontekście może być podane przez pewną deskrypcję tak samo, jak znaczenie jakiegokolwiek nazwy pospolitej. Nie znaczy to, że nazwy własne są skrótami deskrypcji określonych albo czymś takim — podobnie, jak niczym takim nie są nazwy pospolite. Nic ich, moim zdaniem, pod tym względem nie różni.

Nie znaczy to jednak, że nie ma w ogóle żadnych różnic między nimi. W pewnym sensie (ale tylko w pewnym) rację ma Paul Ziff*, twierdząc, że nazwy własne nie należą do języka; słuszną jest obserwacja, że ich znaczenia nie podają słowniki i nie świadczy to o ich niekompletności. Pytanie: „Co znaczy «Arystoteles»?” wy-

* P. Ziff, *Semantic Analysis*, Ithaca 1960, Cornell University Press, s. 86.

dałoby się nam nienaturalne lub źle postawione, w przeciwieństwie do pytania: „Co znaczy «nauczyciel»?”. Zamiast tego zapytalibyśmy raczej: „Kto to jest «Arystoteles»?” albo „Kogo masz na myśli, mówiąc «Arystoteles»?”. Czy jednak rzeczywiście pytania te dotyczyłyby czegoś zupełnie innego? Przecież zarówno na pytanie o „nauczyciela”, jak i na pytanie o „Arystotelesa”, odpowiemy przy pomocy pewnej deskrypcji, która powie nam, co znaczy to słowo.

Warto tu jeszcze zaznaczyć, że nie musi to być ani deskrypcja wyczerpująca, ani zawsze ta sama. Zależnie od kontekstu zarówno ze słowem „nauczyciel”, jak i ze słowem „Arystoteles” mogą wiązać się rozmaite treści. Zazwyczaj będzie ich tak wiele, że nie będzie się dało ich wszystkich wymienić. Wystarczy jednak tyle, żeby było jasne, o co chodzi.

To, że pytanie „Co znaczy «Arystoteles»?” wydaje nam się nienaturalne lub źle postawione wynika zapewne z tego, że poprawne używanie nazw własnych zależy w dużo większym stopniu od posiadania pewnej wiedzy pozajęzykowej niż używanie nazw pospolitych. Są jeszcze inne przyczyny, dla których nazwy własne zajmują wyróżnione miejsce w katalogu wyrażań językowych. Między innymi, z zasady służą one do nazywania jednego i zawsze tego samego indywiduum, podczas gdy nazwy pospolite służą do tego celu tylko okazjonalnie. Te i inne jeszcze różnice są jednak tylko ilościowe, a nie jakościowe.

Przejdę teraz do analizy argumentów zwolenników Nowej Teorii Referencji. Sądzę, że wszystkie one są wariacjami trzech podstawowych: argumentu „semantycznego”; „modalnego” bądź „metafizycznego” i „epistemologicznego”. Opierają się one na trzech podstawowych założeniach, które postaram się teraz zanalizować, a następnie podważyć ich zasadność.

ZAŁOŻENIE PIERWSZE: ODNIESIENIE NAZW WŁASNYCH JEST CZYMŚ SZCZEGÓLNYM

Nazwy własne odnoszą się jednostkowo, to znaczy: dana nazwa własna odnosi się dokładnie do jednego przedmiotu, którego jest nazwą. Tymczasem nazwy pospolite są ogólne: każda z nich odnosi się do wielu przedmiotów należących do pewnej kategorii.

Wydaje mi się, że popełnia się tu dwa istotne błędy: niedostatecznie uzasadnione jest zarówno przekonanie, że nazwy własne odnoszą się zawsze jednostkowo, jak i to, że nazwy pospolite nigdy tego nie robią. Przyjrzyjmy się kilku przykładom.

Jeżeli zapomnimy na chwilę o przekonaniach zaszczerpionych nam przez teoretyków jednostkowego odniesienia, bez trudu znajdziemy przykłady, w których pewna nazwa pospolita odnosi się do dokładnie jednego przedmiotu. Oto pierwszy z brzegu: „Żona mnie zostawiła”. Mamy tu niewątpliwą nazwę pospolitą „żona”, która równie niewątpliwie odnosi się do dokładnie jednej osoby. Mamy dowód na to, że nazwy pospolite mogą mieć jednostkowe odniesienie.

Na dwa sposoby można próbować podważyć taką argumentację. Po pierwsze, można powiedzieć, że w przytoczonym zdaniu ukryte jest wyrażenie okazjonalne, które odpowiada za jednostkowe odniesienie nazwy pospolitej. Innymi słowy, właściwa treść tego zdania brzmi: „Moja żona mnie zostawiła”. Być może tak jest, ale trudno o niezależny argument na rzecz tego, że powinniśmy postulować takie ukryte indeksy. Ponadto, można znaleźć przykłady, w których nie da się takie rozwiązanie (wyobraźmy sobie na przykład, że jestem szejkiem i mam cztery żony, wtedy wyrażenie „moja żona” wciąż będzie mogło odnosić się do czterech różnych desygnatów).

Po drugie, można twierdzić, że o „ujednostkowieniu” nazwy pospolitej decyduje kontekst wypowiedzi. Poza kontekstem jej odniesienie ma charakter ogólny. Problem z taką odpowiedzią polega na tym, że żadnego wyrażenia nie da się użyć poza jakimkolwiek kontekstem.

Nie widać więc powodu, dla którego mielibyśmy uznać, że nazwy pospolite nie mają nigdy odniesienia jednostkowego. Oponent mógłby więc argumentować inaczej: nazwy własne tym się różnią, że mają wyłącznie jednostkowe odniesienie, niezależnie od kontekstu. To również nie wydaje się jednak przekonujące.

Nie widzę bowiem podstaw, na jakich twierdzić by można, że niezależnie od kontekstu nazwa „Arystoteles” odnosi się do starożytnego filozofa, a nazwa „Hess” do autora tego tekstu. Nie da się zaprzeczyć istnieniu takiego kontekstu, w którym chodzić by mogło o Arystotelesa Onassisa albo o Rudolfa Hessa.

Na to można znów odpowiedzieć, że nie są to te same nazwy, a tylko nazwy homonimiczne. Znów jednak nie widać niezależnych argumentów na rzecz takiego twierdzenia. Nie ma więc powodu, żeby się z nim zgadzać. Jest natomiast dobry argument za jego odrzuceniem — nazwiska rodowe. Utrzymywanie, że, przykładowo, ja i mój brat nie nosimy tego samego nazwiska, ale dwa różne, które są jedynie homonimiczne, jest co najmniej kontrintuicyjne.

W świetle tej dyskusji nie widzę powodów, żeby uważać, że istnieje zasadnicza różnica w „trybie” odniesienia nazw własnych i nazw pospolitych. Zarówno jedno, jak i drugie mogą — zależnie od kontekstu — służyć jako terminy ogólne oraz terminy jednostkowe. Mogą odnosić się jednoznacznie bądź wieloznacznie. (Pomijam tu już przypadki, kiedy nazwa własna zaczyna być używana jako nazwa pospolita, np. cicerone albo arras). Bez wątpienia nazwy własne dużo częściej służą odniesieniu jednostkowemu niż nazwy ogólne, ale różnica jest tylko ilościowa, a nie jakościowa.

ZAŁOŻENIE DRUGIE: NAZWY WŁASNE OZNACZAJĄ SZTYWNO

To przekonanie jest główną motywacją argumentu modalnego przeciw deskrypcjonizmowi. Argument ten opiera się bowiem na założeniu, że o ile (1) Arystoteles mógłby nie być nauczycielem Aleksandra, to (2) Arystoteles nie mógłby nie być Arystotelesem. Druga część tego założenia wyraża właśnie „sztywność” nazw wła-

snych: (3) jeżeli bowiem jakieś x nosi nazwę „Arystoteles”, to nie mogłoby jej nie nosić. Albo inaczej: (4) nazwa „Arystoteles” nie mogłaby odnosić się do kogo innego niż się odnosi. Innymi jeszcze słowy: (5) nazwa „Arystoteles” odnosi się do tego samego przedmiotu w każdym świecie możliwym (w którym ten przedmiot istnieje).

Zastanówmy się więc, która z tez (2)-(5) jest intuicyjnie oczywista albo chociaż przekonująca. Nie jest nią na pewno teza (5) — zakłada ona bowiem określoną teorię światów możliwych (taką, która pozwala na trans-światową identyczność), a nie wydaje się rozsądnym przyjmowanie, że istnieją jakiekolwiek intuicje co do światów możliwych i właściwej ich teorii.

Nie są też intuicyjnie oczywiste tezy (3) i (4). Wręcz przeciwnie, potrzeba dopiero wyrafinowanej teorii filozoficznej, aby przekonać nas, że tezy te nie są obalane przez prosty fakt, że rodzice Arystotelesa mogli dać mu na imię Temistokles, a imieniem Arystoteles mogli swojego syna nazwać ich sąsiedzi.

Wygląda więc na to, że obrońcy sztywnej desygnacji wesprzeć mogą się tylko tezą (2). Głosić więc muszą, że jest oczywiste, iż zdanie „Arystoteles mógłby nie być Arystotelesem” jest fałszywe. Przyjrzyjmy się temu. Na pierwszy rzut oka nie wiadomo za bardzo, co dokładnie znaczy to zdanie. Naturalną rzeczą byłoby, jak mnie mam, rozumieć je jako: „Arystoteles mógłby mieć inaczej na imię”. To jest jednak prawda. Sądzę, że w pewnym kontekście (wcale nie bardzo wyszukany) zdanie to mogłoby też znaczyć tyle, co „Arystoteles mógłby nie być jednym z najsłynniejszych filozofów w dziejach”. To również jest prawda. Przychodzi mi do głowy jeszcze kilka innych odczytań tego zdania, za każdym razem jednak okazuje się ono prawdziwe. Nie dostrzegam tej intuicji, która miałaby prowadzić do uznania go za fałszywe.

Aby móc twierdzić, że rzeczywiście jest ono fałszywe, teoretycy sztywnego oznaczania muszą przyjąć, że należy je odczytywać tak, że implikuje ono zdanie o następującej formalnej postaci: $\exists x [\Diamond x \neq x]$. Można środkami formalnymi dowieść fałszywości tego zdania w standardowych rachunkach modalnych. Byłby to zarazem dowód słuszności tezy (2).

Nie da się jednak udowodnić, że jest to jedyny właściwy sposób odczytania tego zdania. Co więcej, można zasadnie twierdzić, że jest to sposób niewłaściwy. Zdanie (2) jest bowiem zdaniem predykatywnym, a nie identycznościowym (użyte w nim słowo „jest” ma sens predykatywny, a nie identycznościowy), nie można go więc sformalizować w powyższy sposób. Jeżeli zaś uznałibyśmy, że jest to jednak zdanie identycznościowe, wtedy argument modalny traci moc. Nie ma bowiem żadnego problemu w tym, że dwa zdania, z których jedno jest identycznościowe, a drugie predykatywne, mają różny status modalny. Mają one wszak różną treść.

ZAŁOŻENIE TRZECIE: WIEMY, CO MÓWIMY

Na założeniu tym opiera się argument epistemologiczny. Głosi on, że zgodnie z deskrypcjonistyczną teorią nazw zdanie „(Jeśli Arystoteles istnieje,) Arystoteles

jest nauczycielem Aleksandra” jest znane *a priori*, skoro nazwa „Arystoteles” znaczy tyle, co „nauczyciel Aleksandra”. Zdanie to znaczy więc „Jeżeli nauczyciel Aleksandra istnieje, to nauczyciel Aleksandra jest nauczycielem Aleksandra”. A to z pewnością jest sąd *a priori*.

Przyjmuje się tu więc, że znaczenie wypowiedzianego/słyszanego zdania jest tożsame z pewną kognitywną treścią „należącą” do mówiącego/słuchającego podmiotu. Innymi słowy: zakłada się tu, że mówiący dokładnie wie, co mówi, a słuchający dokładnie wie, co słyszy. Zgadza się, że przy takim założeniu argument epistemologiczny jest konkluzyjny, a deskrypcjonizm — fałszywy.

Mam jednak bardzo poważne wątpliwości, czy należy przyjmować to założenie. Pierwszym argumentem przeciw niemu jest chociażby to, że w zdecydowanej większości sytuacji, w których ktoś posługuje się językiem, oprócz „nadawcy” istnieje też „odbiorca”. W bardzo wielu sytuacjach to, co jeden z nich uważa za znaczenie wypowiedzianego zdania, nie pokrywa się z tym, co na ten temat uważa drugi. Naturalne wydaje się więc pytanie, który z nich ma rację. Najłatwiejszą odpowiedzią byłoby powiedzenie, że obaj i żaden. Co znaczy, że nie ma czegoś takiego, jak znaczenie zdania w ogóle, a jest tylko znaczenie-dla-nadawcy i znaczenie-dla-odbiorcy.

Sądzę, że nie jest to najlepsza odpowiedź i że jest pewien sens w mówieniu o znaczeniu w ogóle (będącym zapewne jakąś wypadkową znaczenia-dla-nadawcy i znaczenia-dla-odbiorcy, a niewykluczone, że także innych czynników). Nie będę tutaj jednak bronił takiego poglądu. Wystarczy mi dużo słabsza teza. Jeżeli bowiem zgodzimy się, że istnieją co najmniej dwa różne znaczenia, jakie można przypisać danemu zdaniu (przynajmniej w niektórych sytuacjach), to możemy zgodzić się też na nieco inny opis tej sytuacji. Taki mianowicie, że relatywnie do danego podmiotu P dane zdanie ma dwie wartości semantyczne: znaczenie-dla-P i znaczenie po prostu, nazwijmy je znaczeniem niezależnym. To drugie możemy utożsamić ze znaczeniem-dla-partnera-komunikacyjnego bądź ze znaczeniem w ogóle, nie jest to w tej chwili istotne.

Ten opis może wydawać się dość kuriozalny, sądzę jednak, że dotyczy zupełnie codziennej sytuacji i zgadza się z potocznymi intuicjami i przekonaniem dotyczącym charakteru komunikacji językowej. Odpowiada on mianowicie częstym sytuacjom, w których zastanawiamy się: „Czy dobrze zrozumiałem?” albo „Czy ona mnie dobrze zrozumiała?”. W takich przypadkach zastanawiamy się po prostu nad tym, czy znaczenie niezależne danej wypowiedzi pokrywa się ze znaczeniem dla pewnego podmiotu. Gdy różnią się one w istotny sposób, mówimy o nieporozumieniu.

Mit, o którym mówię w tym paragrafie, głosi, że deskrypcja, która miałaby podawać znaczenie danej nazwy, musi należeć do znaczenia-dla-podmiotu. Co więcej, musi się to odbywać w taki sposób, że deskrypcję tę poznajemy w tym samym momencie, w którym poznajemy daną nazwę. Tylko wtedy argument epistemologiczny jest trafny.

Deskrypcjonistyczna teoria, która przyjmuje coś takiego, jest niewątpliwie błędna. Nie widzę jednak powodu, żeby to robić. Deskrypcja podająca znaczenie danej nazwy nie musi wcale należeć do znaczenia-dla-podmiotu i być mu znana „od same-

go początku”. Ktoś może usłyszeć, że „Arystoteles jest nauczycielem Aleksandra”, nie wiedząc wcześniej, że Arystoteles jest nauczycielem Aleksandra. Tym samym dowiaduje się o tym, słysząc od kogoś. Dlatego nie jest to zdanie *a priori*. Ale żeby to wyjaśnić, nie trzeba przyjmować, że nazwy własne odnoszą się bezpośrednio do swoich desygnatów. Znaczeniem (niezależnym) tego zdania może być to, że nauczyciel Aleksandra jest nauczycielem Aleksandra, ale żeby to wiedzieć, podmiot musi wiedzieć, że „Arystoteles” znaczy „nauczyciel Aleksandra”, czyli że Arystoteles jest nauczycielem Aleksandra. A to jest wiedza *a posteriori*. Argument epistemologiczny nie ma więc żadnej mocy, podobnie jak — z tych samych przyczyn — argument semantyczny, którego nie będę tu osobno rozważał.

Sądzę, że przedstawiona przeze mnie analiza założeń, na jakich opierają się sztandarowe argumenty zwolenników Nowej Teorii Referencji, pozbawia te argumenty siły przekonywania, a teorię tę przynajmniej części atrakcyjności, a w każdym razie aury „nieuniknioności”, jaka ją otacza.

Oponent mógłby wciąż twierdzić, że moja argumentacja jest zupełnie nietrafna, ponieważ właściwym problemem, jakiego dotyczy Nowa Teoria Referencji, nie jest zagadnienie nazw własnych, ale zagadnienie „użycia imiennego” wyrażeń, niezależnie od tego, czy pod względem leksykalnym są one nazwami własnymi czy nie. Problem jednak w tym, że trzy podstawowe argumenty anty-deskrypcjonistów opierają się na pewnych intuicjach związanych z nazwami własnymi, a nie z użyciem imiennym i to stąd czerpią swoją (iluzoryczną, jak starałem się pokazać) moc przekonywania.

Weźmy dla przykładu argument epistemologiczny. Przyjmijmy, że deskrypcją, która oddaje znaczenie słowa „koń”, jest „zwierzę służące do jazdy wierzchem” (jest to oczywiście uproszczenie). Czy zdanie „koń to zwierzę służące do jazdy wierzchem” jest zdaniem *a priori*? Jeżeli tak, to dlaczego to nie jest problematyczne, podczas gdy problematyczny jest fakt, że zdanie „Arystoteles był nauczycielem Aleksandra” jest *a priori*? Jeżeli to pierwsze zdanie jest jednak *a posteriori*, to dlaczego mielibyśmy uznać, że to drugie nie jest? Jak widać, argument ten odniesiony do wyrażeń w użyciu imiennym, załamuje się zupełnie, tak że trudno rozpoznać w nim pierwotny sens. Miał go on tylko w odniesieniu do nazw własnych, ale i wtedy nie był przekonujący. Tę samą operację można powtórzyć z argumentem modalnym i semantycznym.

Podsumowując, argumenty zwolenników Nowej Teorii Referencji, opierają się na dwóch filarach: pewnych ogólniejszych założeniach (które zanalizowałem wyżej) oraz pewnych intuicjach dotyczących nazw własnych jako specyficznej klasy wyrażeń. Jeżeli argumenty te mają korzystać z tego drugiego fundamentu, to nie da się utrzymać pierwszego. Jeżeli z tego drugiego zrezygnujemy, to pierwszy również zostanie utracony, a nawet gdyby tak się nie stało, to nie wystarczy, by nadać tym argumentom wystarczającą moc.